MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Adres Redakcji „Myśli Narodowej": Zgoda 5, I piętro, tel. 275-11. Godziny przyjęć codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt. Adres Administracji: Zgoda 5, tel. 26-58

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Rok IV. Warszawa, 29 Listopada 1924 r. № 48.



Cena numeru 25 groszy.

KRAKÓW — NOWE JERYCHO.

Napisał Jan Achacy Kmita.

— **Rok 1601**. —

Otośmy u Kazimierza plac wielki kupili,
Gdzieśmy Nowe Jerycho tych czas założyli,
Tu się żydzi ze wszego świata zjeżdżać mają
Tu stacyje przynosić, tu go przywitają,
Jużeśmy przeciw niemu owych zwysyłali
Co ich z Pilzna i owych, co z Bochnie wygnali,
Garbary i Krowodrzy, także i Krupniki
I Gramatykę zniosą też i Ogrodniki.
Bo tam namioty będą żydowskie rozbijać
I proporce królewskie daleko rozwijać
Sam Mesjasz w Jerychu będzie miał gospodę

Tam będzie dalszym dawał mieszczanom nagrodę
Którzy na nas łaskawi i dobrzy bywali.

. . . .

Smyki damy pościnać, studenty schwytamy
A rybałty na szkołach wszystkie zobrzezamy.
Jezuitom i inszej księżej spokój damy,
Bo my też od nich pokój i wolności mamy.
Szlachtę królmi poczynim, my szlachtą będziemy
Mieszczany orać muszą, bo ich przymusiemy
Teraz już się wypełnią słowa Jezajego
Będzie pił baran z wilkiem ze źródła jednego.
Taka wielmożność będzie króla żydowskiego,
Że się nie zmieści w Kraków z wojskiem wszystkiem jego,
Z wielkim on grzmotem w Kraków i do Polski idzie
Osiemdziesiąt tysięcy z nim trębaczów przyjdzie.

RZĄD P. THUGUTTA.

Ostatnia rekonstrukcja gabinetu nie została, wedle mojego skromnego zdania, należycie uchwycona przez prasę. Na ogół panuje przekonanie, że gabinet p. Władysława Grabskiego uczynił przesunięcie na lewo, ale niemniej pozostał gabinetem p. Grabskiego. W istocie rzecz ma się inaczej niż mówią konstytucyjne i prawne tytuły. Konstytucja nie zna godności wicepremjera, a godność ta została niemniej wprowadzona. I kiedy lewica stawiała niegdyś wnioski czy interpelacje o pogwałcenie konstytucji przez przyznanie tej godności p. Korfantemu w ostatnim gabinecie p. Witosa, to dzisiaj milczy, skoro to nieprzewidziane przez konstytucję stanowisko zostało objęte przez członka lewicy. Mamy tu namacalny przykład naszego, swoistego rozumienia prawa: to co mi smakuje, jest prawne, a co mi się nie podoba, jest bezprawiem.

Wicepremjer nie ma zakresu działania czyli teki. Cóż więc ma robić? Wszystko, co zechce. A więc przedewszystkiem ogólną politykę państwową. Tytularny premjer zagrzebie się w swoje trudne zagadnienia finansowe i gospodarcze, a ogólna polityka przejdzie siłą rzeczy w ręce wicepremjera, nie mającego w czem się zagrzebać. Nie brak też i wskazówek, że to się zaczęło już robić. P. wicepremjer ma więc objąć nadzór nad sprawami kresowemi, a mówiąc konkretnie, nad wykonaniem ustaw językowych. Ustawy te zaś dotyczą administracji, a więc spraw wewnętrznych, oświaty i sądownictwa. Trzy zatem bardzo ważne ministerstwa podpadają pod naczelne zwierzchnictwo p. wicepremjera. Ponieważ zaś uspokojenie kresów wymaga współdziałania władz wojskowych, należy siłą rzeczy przewidzieć potężne wpływanie wicepremjera na wojsko. Ale sprawy kresowe w wielu punktach opierają się o zagranicę — jest więc logiczną konsekwencją, że p. wicepremjer musi również wpływać i na prowadzenie spraw zagranicznych. Cała zatem polityka tak we-

wnętrzna jak zagraniczna przechodzi siłą rzeczy w ręce wicepremjera.

Mamy zatem rząd p. Thugutta, firmowany przez fachowego ministra skarbu p. Grabskiego.

P. Thugutt wystąpił ze stronnictwa „Wyzwolenia", którego program jest socjalistyczny. Są to socjaliści wiejscy, chłopscy, czasami znacznie trudniejsi do utemperowania, niż socjaliści jawni. Czy istotnie różnice zapatrywań między p. Thuguttem, a jego kolegami tak się pogłębiły, że współżycie stało się niemożliwem, czy też był to tylko manewr, przygotowywujący p. Thuguttowi objęcie dzisiejszej roli kierowniczej, trudno rozstrzygać. Nie jest wykluczone, że owo wystąpienie miało na celu pozorne zdjęcie z p. Thugutta marki partyjnej, w myśl lewicowej zasady, że kto pozostaje dzikim przez trzy miesiące w Sejmie, staje się bezpartyjnym fachowcem. Ta zasada jednak obowiązuje tylko w odniesieniu do lewicy. Nielewicowiec przez sam fakt nienależenia do lewicy nie zmyje już nigdy z siebie piętna partyjności.

Mamy tego dowód na p. Wóycickim. Znakomity ten sędzia, pierwszorzędny znawca prawa, człowiek nieskazitelny, prawy, rozumny i energiczny, był w roku jeszcze 1913 posłem na Sejm galicyjski i wtedy należał do narodowej demokracji. Od tego czasu upłynęło lat 11, p. Wóycicki miał czas przejść przez więzienie ukraińskie, wejść do Najwyższego Sądu, zostawić wszędzie jaknajchlubniejsze dowody swojej państwowo narodowej działalności, ale choć posłem nie jest, piętno endeckości czyni go niemożliwym do zasiadania w gabinecie p. Thugutta. Posłowie lewicowi prywatnie oddają p. Wóycickiemu najwyższe pochwały i uznanie bez zastrzeżeń, wyznają otwarcie, że wiedzą, iż p. Wóycicki prowadziłby politykę ani prawicową ani lewicową, lecz wyłącznie państwowopolską — ale właśnie dla tego uznali, że w tym gabinecie nie powinien zasiadać, bo ten gabinet musi prowadzić politykę wyłącznie lewicową. Zaszkodziła też p. Wóycickiemu opinja człowieka energicznego o szerszych horyzontach, który może jeden w Polsce byłby zdolnym do zaprowadzenia porządku w ministerstwie i w całem sądownictwie. Ludzie zagrożeni wprowadzeniem porządku, wpłynęli na lewicowe kluby, ażeby te w ostatniej chwili założyły protest i protest okazał się skutecznym. P. Wóycicki nie został ministrem sprawiedliwości, bo zachodziła obawa, że nikomu bez wzgledu na partje nie pozwoli żerować na państwie.

Za to ministrem został p. Sokal. Jest to świetny, błyskotliwy, wykształcony typ, który Niemcy nazywają kathedersozialist. Socjalista teoretyzujący, z pewnością do partji niezapisany, będzie bronił w rządzie tych „zdobyczy demokratycznych", któremi Polska tak się chlubi w Genewie, że od samego p. Thomasa dostała pochwałę za swoją wyprzedzającą cały świat postępowość. Że ta postępowość skończyć się musi upadkiem pzzemysłu z powodu niezdolności naszej do konkurencji i że przez to może krocie „uprzywilejowanych"

robotników stracą chleb, o to mniejsza. Nie chodzi przecież w Polsce o chleb dla ludzi, o życie ludzi, tylko o uznanie przez lewicę zagraniczną za piękne principia. Niegdyś „liberum veto", dziś „zdobycze demokratyczne" stały się ową źrenicą wolności „pupilla libertatis", o której pisał Turski, że nie żyć nam w tej ojczyźnie i za ojczyznę mieć jej nie chcemy, gdyby w niej cztery kardynalne źrenice wolności miały zaginąć.

Trzeba sobie jasno powiedzieć, że socjalizująca lewica objęła rządy w Polsce pod firmą p. Władysława Grabskiego. I chce się przy nich utrzymać.

O utworzeniu większości parlamentarnej nie ma teraz mowy i niewiadomo, czy w tym Sejmie jest to prawdopodobne. Kiedy w ostatnich czasach mówiono o możliwości upadku gabinetu p. Grabskiego, ogłoszono również, że jego następcą miał być jen. Sikorski. Jenerał ten uchodził do niedawna za lewicowca, za męża zaufania ludowców tak piastowych jak wyzwoleńczych, tudzież Narodowej Partji Robotniczej. Nie zaszło nic takiego, coby świadczyło o możliwości zmiany przekonań u p. Sikorskiego. A tymczasem od dwóch miesięcy z górą rozpoczęła się na jen. Sikorskiego planowa koncentryczna naganka ze strony prasy tych właśnie stronnictw, które uchodziły za jego zwolenników i niejednokrotnie dawały tego dowody.

Cóż się stało?

Mnie osobiście zdaje się, że jest to tylko uniemożliwianie następstwa po dzisiejszym gabinecie po to, ażeby został jako jedyna możliwa konieczność państwowa. Przofasonowany gabinet musi się utrwalić na korzyść lewicy. Tem tylko tłómaczy się niezrozumiała naganka na p. Sikorskiego, jako też i na kilku pozostałych jeszcze ministrów, którzy lewicy nie służą.

Dla wzmocnienia kierunku uczyniono pod nieobecność p. Sikorskiego wiele przesunięć w wojsku, obsadzając resztę stanowisk przez zaprzysiężonych zwolenników p. Piłsudskiego. Gdyby dziś Pierwszy Marszałek wrócił do armji, zastanie prawie wszędzie samych swoich z POW. A powrót jego staje się nietylko lewicową koniecznością państwową, lecz przy nowym, zmienionym rządzie możliwością, lub raczej logiczną konsekwencją.

Z chwilą rozpoczęcia obrad sejmowych rozpocznie się wygryzanie tych kilku ministrów, którzy służą państwu, a nie lewicy—natężona praca nad przywróceniem p. Piłsudskiego do wojska i nad kompletnem zlewicowaniem gabinetu. Dopóki w Anglji rządził Mac Donald, a we Francji Hériot, Polska powinna była stosować się do lewicowej Europy. Po zwycięstwie Mussolini'ego i Baldwina Polska ma się rozwijać wbrew temu, co się dzieje w Europie, albowiem celem Polski są nieprzerwane eksperymenty lewicowe, tudzież posady i zarobki dla „swoich".

Jan Zamorski

A. ŚWIĘTOCHOWSKI O „WYZWOLENIU".

Surowa i karcąca akcja przeciw „Wyzwoleniu" prasy narodowej a raczej tych kilku wśród niej publicystów, którzy jeszcze nie posnęli, dokonała swego. Pół roku temu wystąpił z Wyzwolenia poseł Thugutt, wypowiedziawszy pod adresem swoich kilkoletnich kommilitonów sporo subjekcji przykrych ale sprawiedliwych. Nie spoczywaliśmy atoli na laurach i demaskowali dalej antypaństwową, antynarodową, antyeuropejską i wprost probolszewicką „działalność" tego zbiegowiska, które uchodzi w Polsce za partję. Pod pressją tej akcji demaskującej znów niedawno wyciśnięto z „Wyzwolenia" kilkunastu dzikusów i murzynów politycznych. Ale to jeszcze mało. Ostatnio znów ta 60-tka „wybrańców ludu" (dzięki najskandaliczniejszej ordynacji wyborczej) oficjalnie solidaryzowała się z napaścią dywersyjną swego członka, (zdesperowanego niedolą polityczną „pierwszego marszałka"), na posła Rabskiego, rzekomo obrażona takiem passus w charakterystyce „Wyzwolenia" w „Kurjerze Warszawskim":

„Kanał lewicowy, zwany „Wyzwoleniem", który od 6 lat zanieczyszcza powietrze Polski odrodzonej, zaczął w ostatnich czasach znów pachnąć tak, jakby spłynęły do niego paskudstwa całego świata. Kanał Wyzwolenia ma dzisiaj zapach ostrzejszy. Jakiś inny, ohydny a żrący. Coś się przypomina... Cloaca maxima... Oto wypuściła w swym organie „Wyzwolenie ludu" taką strugę cieczy bolszewickiej, jaka nawet w ściekach tego kanału pobiła rekord obrzydliwości".

Charakterystyka całkiem słuszna, tylko *nie całkiem* wyczerpująca i *za łagodna* w zestawieniu np. z tym stylem, jakim majster Ehrenberg stale pisywał o obozie narodowym, o Wł. Grabskim, Hallerze, Dowborze, Seydach, Paderewskim, arcybiskupie „ormiańskim", Głąbińskim, ś. p. ks. Lutosławskim, ś. p. Skarbku i t. d.

Ponieważ więc charakterystyka anarchizującej, wichrzycielskiej od lat pięciu i skroś barbarzyńskiej skupiny pod nazwą „Wyzwolenie", rozwalającej państwo polskie znacznie więcej wyczerpująca wyszła z pod pióra nestora publicystyki polskiej Aleksandra Świętochowskiego i to dwukrotnie w jego „Liberum Veto", przeto przypominamy ją tu czytelnikom „Myśli Narodowej":

„Jeden z posłów sejmowych w rozmowie ze mną, określając cechy stronnictw sejmowych, dodał uwagę:

— Obserwując przez kilka lat zbliska nasze partje polityczne, nauczyłem się je rozumieć i dziś wiem, czego każda z nich żąda i dokąd dąży. Jedna tylko pozostaje dla mnie całkiem niepojęta — „Wyzwolenie". Czasem sprawia ona wrażenie bezmyślnych warchołów, czasem sztucznie podnieconych półgłówków, czasem niesfornych żaków, a czasem poprostu krzykliwych warjatów. Jak pan sądzi?

— Tę zagadkę — odrzekłem — daleko lepiej rozwiązałby panu Sztolcman, znakomity badacz ptaków. W swych „Szkicach Ornitologicznych" opowiada on, że toki cietrzewi są niezrozumiałe i wątpić należy, ażeby to były zaloty miłosne w celu podobania się samicom. Gdy bowiem stare samce z wyciągniętą szyją, zadartym ogonem, opuszczonemi skrzydłami, wydając bełkotliwe dźwięki, podskakują lub rzucają się na siebie jak warjaci, siedzące na obocznych drzewach samice przypatrzywszy się obojętnie tym podrygom, odlatują w gąszcz z czekającymi na nie samcami młodymi. Podobne widowisko

odbywa się na naszem tokowisku politycznem: stare samce, ciskają się w szalonych, niezrozumiałych pląsach—to są „wyzwoleńcy“, młode, czatujące w pobliżu -- to bolszewicy, a samice — to odlatujące z nimi w gąszcz wyzwolone cieciorki. Sztolcman zaznacza przytem, że śród cietrzewi zdarzają się mieszańce (z głuszcami) zwykle bezpłodne. Między „wyzwoleńcami“ są również mieszańce — i pomimo znoszenia jaj w rozmaitych okolicach kraju—również bezpłodne, nie słyszymy bowiem o żadnej ich pracy twórczej. To też, o ile nie ustalą się w gatunku czystym, jako Lyrucus tetrix bolszewicius, nie pozostawią potomstwa i wyginą”.

Drugi raz w kilka miesięcy później czytaliśmy:

„Gdyby można było się śmiać, jakże byśmy serdecznie się śmieli! Jest w sejmie „partja” podobna do torby dziadowskiej, w której leży kromka chleba, kawałek sera, parę kartofli, smolna drzazga, jajko, kilka guzików i t. p.

Nazywa się ta zbieranina „jednolitym zastępem“, broniącym interesów „ludu” lub „proletarjatu wiejskiego”. Ta szczególna „partja” powstała dzięki temu, że w pewnych okręgach wyborczych znalazła się większa liczba kełbiów, chwytających przynętę wędek agitacyjnych a jednocześnie znalazło się kilkunastu radykalizujących karjerowiczów politycznych, pchniętych ambicją zdobycia mandatu poselskiego, którzy nie mając do siebie miejsca w żadnym wozie partyjnym, wsiedli do omnibusu z czerwoną chorągiewką. Z ludem i proletarjatem wiejskim pozostają oni w takim związku, w jakim konie względem furmana i pasażerów tego omnibusu. Gdyby zszyć razem głosowania i oświadczenie tej grupy jako jej sztandar, wypadłaby wielobarwna płachta, w której skrawki wełniane byłyby połączone ze skrawkami perkalu, skóry a nawet papieru a całość pochlapana czerwoną farbą. Oczywiście taka płachta nie mogła się długo trzymać, zwłaszcza gdy ją zaczęto gwałtownie ciągnąć i szarpać w rozmaite strony—musiała pęknąć w swych słabych szwach. I pękła. Zdarzył się bowiem wypadek z nieprzewidzianym a naturalnym skutkiem. Prezes tej „partji“ pojechał za granicę i odwiedził we Włoszech, Francji i Anglji naczelników rządu, którzy (oprócz Mussoliniego) uznani zostali u nas za pochodzących z „lewego łoża“. Po powrocie zabrał głos w Sejmie. Chociaż w jego mowie było trochę „wyzwoleńczej” czkawki, wogóle jednak wprawiła ona w zdziwienie zarówno jego towarzyszów partyjnych, jak przeciwników. Pan prezes jak gdyby rozbroił się, jak gdyby w podróży stracił wszystkie szrapnele i granaty ręczne parobczańsko-socjalistyczno-mniejszościowej demagogji, jak gdyby tam odwonił się z cuchnących odorów zaściankowego radykalizmu, jak gdyby z psotnego żaka wyrósł na poważnego męża stanu. W jego wywodach znać było, że chce objąć wzrokiem rozległy widnokrąg życia społecznego a nie patrzeć na nie przez partyjną szparę, że mu chodzi przedewszystkiem o naród, o państwo, o Polskę. Naturalnie takie stanowisko nie godziło się z mistycznym, bo nikomu nieznanym „programem” stronnictwa,

a w istocie nie godziło się z jego taktyką polegającą na bezmyślnem przeczeniu i wichrzycielstwie; więc rozpoczęło się wierzganie znarowionych kuców i wrzaski clownów tego cyrku sejmowego, które zmusiły jego dyrektora do pożegnania całej załogi".

Fakt nie tyle ważny, ile pouczający. Nasz radykalizm polityczno-społeczny nie jest oryginalny, ale naśladowczy i jak wszelkie małpiarstwo karkaturalny. Nigdy może przysłowie łacińskie, że „gdy dwóch robi to samo — nie jest to samo" — nie sprawdziło się ściślej, niż w tym wypadku. Idee o szerokim obrębie zwężono do obręczy, przez które przeskakują akrobaci wiecowi; obronę państwa, uczucia narodowe, dążenia patrjotyczne, które gdzieindziej są przedmiotem ataku, ale zarazem szacunku, u nas podłożono pod chamskie cepy i opluto pijacką śliną. Przewrotowcy francuscy — jak tego zresztą dowiodła wojna — pomimo rozebrania wszystkich akcji międzynarodowego radykalizmu nie sprzedaliby za nie ani narodowego charakteru, ani niepodległości swoich państw. Tymczasem nasi ciągle usiłują zabić lub zatruć Polskę i z pewnością śpiewaliby tłuste piosenki na jej pogrzebie i tańczyli bolszewickiego kozaka na jej mogile. Nasz rewolucjonizm to nie jest apokaliptyczna bestja, bo zły psiak, który szczeka na wszystkich a napada i kaleczy przechodniów. W niczem nie przejawia on wielkości, a we wszystkiem małość, parafiańszczyzna, zaścianek, napełniony zawiścią, kłamstwem, plotkami i bójkami."

Ze słów tych znakomitego pisarza nic ująć a natomiast do nich wiele dodać jeszcze by można.

Z tego względu akcji „wyzwolonego" „Kurjera Porannego", zapoczątkowującego wielką ankietę p. t. „Jak zapobiedz swywoli drukowanego słowa?" nie wróżymy wielkiej przyszłości. I to nie tylko z tej racji, że zainicjował ją taki skończony szuler polityczny jak p. K. Ehrenberg-Jasnogórski na benefis takiego multimiljardera powojennego jak Ludwik Fryze, ale z tego względu, że *jedynym sposobem* ukrócenia „swywoli drukowanego słowa" byłoby wyłącznie zamknięcie przedewszystkiem największego lupanaru rozpusty drukowanego słowa jakim jest od lat wielkokapitalistyczne nocne etablissement Fryze-Ehrenberg.

Gdyby rząd którykolwiek odważył się na opieczętowanie tego domu fałszowanej gry politycznej, tego pisma, *które jeszcze nigdy nie odważyło się na wytoczenie procesu o oszczerstwo nikomu,* to możemy ręczyć, że, o ile zaraza stamtąd nie rozlezie się po reszcie prasy, to i ci publicyści w narodowym obozie, którzy jeszcze nie posnęli żywcem a dziś zmuszeni są bronić swoich przed gazami trującymi czasem i granatami ręcznymi, w wyborze broni defensywnej będą wybredniejsi.

Na razie o tem niema mowy. Z „Wyzwoleniem" i z bande nere „Kurjera Porannego" nadal tak jak dotąd. (*a. n.*)

Z MÓW J. I. PADEREWSKIEGO.

W Katowicach

(dnia 14 listopada).

Powinniśmy wszyscy, jak Polska szeroka i długa, zrozumieć, że jakkolwiek wojna orężna już minęła, to jednak nie skończyła się walka. Walka trwa i trwać będzie, tylko przeniesiona na inne pole, na pole pracy i wre ona zacięta, zawzięta, nieustannie, sku-

tecznie tuż obok. W tej walce tylko ten zwycięży, kto więcej pracować będzie. Nikt tego snadniej, lepiej nie zrozumie, niżli te pułki prastarych naszych Bartków zwycięzców, nikt tego lepiej odczuć nie potrafi jak ten pracowity i dziwnie dojrzały lud śląski. Lecz powinniśmy i musimy z drugiej strony zrozumieć, że jeżeli dziś, dzięki łasce Boga, dzięki wytrwałości, dzielności i patrjotyzmowi śląskiego ludu przy światłym, mądrym kierownictwie Wojciecha Korfantego ta część Polski jest Polską, to jest obowiązkiem Polaków wszystkich i każdego z osobna postępować i zachowywać się wobec współobywateli naszych obcej krwi, mowy lub wiary w ten sposób, ażeby to zachowanie się i postępowanie stało się przykładem dla innych, pod których władzą pozostało jeszcze blisko 2 miljony naszych rodaków.“

W Poznaniu

(dnia 22 listopada).

„Są ludzie, którzy umieją mówić o sobie, lecz ja do nich nie należę. Zdobyłem trochę rozgłosu w świecie, trochę szacunku wśród obcych, ale nie urosłem w pychę. Pozyskałem dużo przyjaciół dla kraju. Wypadki i okoliczności wysuwały mnie na stanowiska wpływowe. Obejmowałem je, bo taka była wola Boga, a także ludzi żądanie. Czy na nich sprostałem swemu zadaniu—nie moją jest rzeczą sądzić. Zawsze pracowałem tylko w poczuciu obowiązku dla swego narodu, który zawsze mi będzie najdroższym i najbliższym. Dziś stoję z daleka od czynnej polityki i nie chciałbym o niej mówić. Miłującem sercem oceniam tę godność, którą mię darzycie, cenię tę godność obywatela, jaką mnie darzycie, jaką jest obywatelstwo honorowe tego miasta, najbardziej polskiego w Polsce i wołam: „Niech żyje Poznań, Rada m. st. Poznania niech żyje“.

Te dwie mowy najszlachetniejszego patrjoty i wielkiego obywatela, któremu Polska odrodzona tyle zawdzięcza i który zagranicą cieszy się największą czcią, miłością i szacunkiem, powinny chyba wnieść nieco uspokojenia w waśń domową między dwoma skrzydłami t. zw. Ósemki t. j. obozu narodowego i chrześcijańskiego. Ktokolwiek działa nadal nad rozkopaniem przepaści między tymi odłamami, powodując się choćby aktualnie bardzo pięknymi względami, ten świadomie lub nieświadomie działa destrukcyjnie, rozwalając solidarność obozu narodowego i pomagając do zwycięstwa wszechwładnego żydostwa. Popychając całą lub choćby część Ch. D. w ramiona rozwarte rozradowanej lewicy współpracuje się nad stworzeniem lewicowego kartelu i większości parlamentarnej, która da Polsce nowy gabinet w stylu Moraczewskiego, nową odmianę kiereńszczyzny. Lewica pcha obecnie całą parą do rozwiązania Sejmu. W tych warunkach przy dzisiejszym rozłamie i rozstroju przeprowadzone wybory mogą wypaść katastrofalnie.

Czas opamiętać się w zapamiętałej, zadzierzystej zajadłości i obłędzie, w pośpiesznem likwidowaniu i grzebaniu ryczałtem własnych ludzi!

(*a. n.*)

KUPLETY „ANIELSKIE“.

Poeta Tuwim mianował poetę Lechonia „aniołem zawieszonym między niebem a ziemią“.

Otóż do komedji St. Krzywoszewskiego p. t. „Zmartwienia p. Hamelbeina“ dopisał dla artystki p. Brydzińskiej na nutę „Wenn du einmal Braut hast“ anioł zawieszony między niebem a ziemią kuplety w tym stylu:

W pół do piątej już uderza,
Każdy w sobie czuje zwierza,
W sukni jesteś wielką damą,
Lecz kobietą pod pyjamą.
Przez jedwabne materjały
Obejmuje cię świat cały,
Gdy we fraku jest to kłamie,
Prawdę mówi tylko wtedy'
Gdy w pyjamie.

Kobiety drżą zasdrosne,
Zły mąż się trwoży.
Zawsze na wiosnę,
Takim jest gorzej.
By czasem pokryjomu
Coś się nie stało,
Mąż siedzi w domu,
Ach, to ciało!
Na nic cnota i kultura,
Więc nie mówią córkom mamy,
Na co w sklepach są pyjamy,
Zmysły nęci, oczy wabi
Pomysł, miękkość tych jadwabi,
Żrą się ludzie, lecz to samo
Zawsze czują w głębi serca
Pod pyjamą.
Na drzewie pączek pęka,
W żyłach masz wrzątek.
Idzie panienka:
Ach, to początek
Sen spędzasz wiosno z powiek,
Ani się spytasz,
Kiep, czy dygnitarz,
Tylko człowiek...
Skąd to się nam wszystkim wzięło?
Jeszcze w raju się zaczęło...
Piękna Ewa przy Adamie,
I oboje — nie w pyjamie...
Krew nabiega nam do skroni,
Twarz przy twarzy i dłoń w dłoni,
W sen schodzimy i słuchamy:
Jak nam młotem biją serca
Z pod pyjamy.

Otóż kwestja jest taka.

Można pisać polski tekst do marsza pruskiego „Die Blauen Husaren“, a największy „bohater narodowy“ nazwie to sobie najdumniejszą pieśnią polską. Można więc zatem pisać i poematy „karmazynowe” o Mochnackim i jednocześnie kuplety o pyjamie na nutę „Wenn du einmal Brant hast“. Ale co o takich „poetach“ z Kurjera Porannego w duchowej atmosferze Fryzów i Boyów dorastających powie następne pokolenie?

Czy uzna w was „aniołów zawieszonych między niebem a ziemią“? (*a. n.*)

O SZYLDACH

(Dwugłos)

Żargonowy wileński „Unzer Tog pisał:

„Wiele razy już wskazywaliśmy konieczność niezmniejszania charakteru żydowskiego Wilna przez zaniechanie żydowskich liter na napisach nad sklepami i przedsiębiorstwami, a tylko w małej mierze to wykonano. „Im mniej żydowskich szyldów w mieście, tem większe jest niebezpieczeństwo dla tych, które już wywieszono. Oto naprzykład komunikują nam o kilku wypadkach, że chuligani zerwali żydowskie szyldy.. Takie wypadki nie mogłyby się zdarzyć, *gdyby całe Wilno żydowskie było pokryte żydowskiemi szyldami.* Albowiem przecież taki właśnie jest motyw tego, że uważamy sprawę szyldów żydowskich za ważną: przyzwyczaić szowinistyczną chuliganerję do faktu, że w Wilnie istnieje także żydowska ludność o własnym języku i całkowitem prawie do tego języka. Kto więc zaprzecza temu faktowi czy przez to, że nie rozmawia w żargonie, czy przez to, że *nie manifestuje swego żydostwa za pomocą naszych liter czworograniastych*, ten zmniejsza w taki sposób liczbę i wagę żydowskiego elementu w Wilnie”. „O ten powinny wiedzieć przedewszystkiem odpowiednie nasze organizacje żydowskie, jak Związek Kupców. Stowarzyszenie Rzemieślników, Stow. Drobnych Handlarzy, Stow. Lekarzy i Dentystów i t. p. Muszą *one przymuszac swych członków do manifestowania żydowskości Wilna przez żydowskie napisy na szyldach*”.

Warszawski „Nasz Przegląd“.

„Lada napis rosyjski dotąd niezatarty — doprowadza *różnych „patrjotów" do białej gorączki.*

Spotykane napisy niemieckie wywołują ataki furji.

To gwałtowne reagowanie na rzeczy istotnie nieszkodliwe i obojętne — jest *objawem szowinizmu dusz płytkich i szarych.*

Zdrowe poczucie narodowe jest dość humanitarne, aby *tolerować u siebie szyldy czy przedmioty obce.*

Niezdjęty dotąd *szyld rosyjski* nie jest wcale dowodem, że nie zatarliśmy śladów niewoli carskiej.

Stokroć gorsze są bowiem niezatarte napisy, wyryte w wielu duszach, że weźmiemy dla przykładu z carskiej Rosji wywodzące się przesądy żydożercze, czy też prusacką brutalność, którą tak wielu dzisiejszych pseudopatrjotów odziedziczyło po zaborcach".

MR. MARCELI HANDDELSMAN JAKO SZPECJALIST OD ANGLII.:.

(Przegląd polityczny. R. I. Ze. I. 15 kwietnia 1924. „Nasza" polityka wobec Anglii).

„Ale nie zapominajmy i o innych prawdach. Imperjum brytyjskie w postaci południowo-afrykańskiego premjera jenerała Smuts'a znalazło w tej ciężkiej chwili dziejów pierwszorzędny talent polityczny — może *największego swego męża stanu w jutrzejszym dniu historji* — i dzięki jego genjalnemu wynalazkowi systemu mandatowego opanowuje dotychczas na krytycznym terenie Bliskiego Wschodu wzmagający się ocean ruchów pan-arabskich, pan-islamistycznych i pan-azjatyckich.

Dzisiaj proklamowany Kalifem król Hussein, władca Hedżasu (tego „Piemontu arabskiego") i pan świętych miejsc religji muzułmańskiej — pan Mekki, tego Rzymu Islamu, — *z dumą w koło spoglądać może na wieniec* królestw, których trony zajmują jego synowie — dynastja Husseinidów. ... „Poczucie polityczne angielskie nawskroś państwa jest zarazem społecznem i demokratycznem".

... „Anglji nigdy w doniosłych momentach dziejów nie brakło przenikliwości i daru przewidywania"....

Tyle p. Handelsman of street.

All-right. Ale panu brakło. I brakło pp. Rosnerowi, Shapirze, Appenschlakowi, Posnerowi, Szwalbemu, Beaupremu, Nussbaumowi, Estreicherowi, Ehrenbergowi, Bierenzweigowi, Noskowskiemu, Grossternowi, Thonowi, Szwarbartowi, Skrzyńskiemu, Haeckerowi, Feldmanowi, Srokowskiemu, Dybowskiemu i t. p. krakauerom.

P. M. Handelsman to izraelita pracowity, obrotny, uczony, okropnie Polak, ale daru przewidywania niema.

Król Hussein nie spogląda już z dumą.....

„Największy zaś mąż stanu w jutrzejszym dniu historji" (reklamowany też przez drugiego, aryjskiego znów znawcę Anglji ale do cna przeżartego malarją krakowską prof. Dybowskiego) padł sromotnie w tymsamym czasie przy wyborach w Transwaalu i jest sobie emerytem kolonialnym, byłą wielkością o której się już nie mówi...

Dodać tu trzeba, że wśród polityków angielskich drugiej sorty był Smuts tym, który z największą zaciekłością nienawidził „Katolickiej Polski", a faworyzował Niemców i żydów. Stąd ten kult u Handelsmanów dla Smutsa.

Ale skąd u Dybowskiego? Kraków. Alma Mater Enkainitorum.

(*a. n.*).

GOŚCIE ZE WSCHODU.

Pierwszy lepszy narożny kiosk w Warszawie stale jest oblepiony afiszami opiewającemi występy w różnych salach Warszawy, żydowsko-rosyjskich autorów i aktorów.

Jewreinow, Siewierianin, Wertyński, Chenkin, Karsawina, Władimirow, Kaczałow, Lipkowska, Sibiriakow, cała „Siniaja Ptica" i t. d., i t. d. szereg „grubych ryb", przybywających do nas tłumnie ze Wschodu via Berlin—Praga.

Przybywają by móc nas nakarmić swą „Sztuką“. Powodzenie mają zapewnione, sala zawsze pełna, bowiem młodzież żydowska poprze zawsze chętnie wszelaki „modernizm" zwłaszcza rosyjski, tchnący „siewieronanizmem", lub zgniłym „żydowertinizmem“.

Dość tego zachwytu dla wszystkiego, co z Rosji. Warszawa nie jest Berdyczowem. Nie mamy obowiązku dogadzania gustowi „naszych najserdeczniejszych“.

Nie odmawiamy talentu niektórym z tych wędrownych artystów, ale, znając ich życzliwość do wszystkiego co polskie, radzimy polskiej publiczności powstrzymać swoje zachwyty.

Tymbardziej, że zawdzięczamy ten napływ naszemu złotemu, powinniśmy chociażby z szacunku dla niego mniej pochopnie wpychać go do różnych, często nie zupełnie czystych kieszeni przedsiębiorców o niewyraźnej przeszłości.

(Tom. Jaw.).

OBRAZKI Z JUDENDENTURY OKRĘGU BIAŁOSTOGKIEGO I BRZESKIEGO n/B.

Niedawno otrzymaliśmy wiadomość o aresztowaniach w W.O.Z. III Białystok za popełnione nadużycia w odbiorze koców.

* * *

Szefostwo intendentury w Grodnie nie posiada ani jednego fachowego w służbie intendenckiej a na czele stoi ppułk. żyd Maurycy Thorn, który sześć miesięcy urzęduje na urlopie, a drugie sześć w łóżku.

W okręgu tym dzieją sie nieznanej dotąd szerokiej masie orgje Personel p. Thorna dzieli się na dwa obozy: białych i czarnych. Biali to ludzie uprzywilejowani pozostający w zażyłych stosunkach z p. ppułk. i mówią sobie „per ty”. Jeżeli się zdarzy wypadek, że p. Thorn urzęduje w biurze to młody, dwudziestoletni porucznik wchodząc do swego szefa wita go temi słowy: „Servus Maurycy” na co ten ostatni odpowiada: „Ślakby cię trafił Guciu!” Z czarnemi stosunki są całkiem inne. Często się słyszy jak uniesiony p. ppułk. krzyczy. „Ty „cholerniku...! Dlaczegoś tego nie zrobił” itp.

O swym przełożonym p. ppułk. Thorn, nawet wobec swych podwładnych wyraża się w ten sposób: „Urgens“ — to rzuć go do kosza. Co sobie ten cholernik Litwinowicz myśli, ja na niego napiszę do Belwederu!“

Gospodarka p. Thorna jest skandaliczna. Tysiące wagonów zboża W. Z. G. gnije około stacji, a ppułk. rozjeżdża się urlopowo na koszt Państwa.

Curiculum vitae p. Maurycego Thorna przedstawia się następująco:

W sławetnej wyprawie na Kijów — on to, Maurycy Thorn, wywiózł z kraju olbrzymie zapasy żywności, mundurów, obuwia i skór i tam dla bolszewików zostawił).

W roku 1920 roztrwoniono kasę wojskową półtora miljona marek w owe czasy i do dnia dzisiejszego w tej sprawie nie odnaleziono winnego. Nadto opowiadają że wszyscy żydzi krawcy w Białymstoku mają nowe maszyny do szycia zamienione w W. Z. G. za stare).

Podobno manipulacje te przeprowadził por. Kamiński, który kilkakrotnie pozostawał pod śledztwem, a obecnie osadzony w więzieniu.

P. Thorn za to wszystko dostał krzyż walecznych.

W Brześciu n/Bugiem dzieje się nie lepiej, Główne kierownictwo intendentury D.O.K. Brześć i rejonówki prowadzą żydzi i wasser-polacy. Są tu tacy jak: ppułk. Goldwasser, mjr. Szunpin, mjr. Samek, kpt. Golden i inni, 80% żydów i takich, dla których nigdzie w Polsce miejsca niema.

Główną sprężyną zażydzenia naszej intendantury jest kierownik sekcji personalnej VII departameutu M. S. Wojsk., sierżant c. i. k. 1918 r., a obecnie ppułkownik Mośkiewicz, który na naczelne stanowiska w intendanturze wysuwa ludzi semickiej krwi.

SZABAS W OPERZE.

Dyrekcja Opery warszaw. od pewnego czasu stale w sobotę wystawia „Żydówkę“ Halevy'ego.—Muzycznie opera ta przedstawia wyjątkową nędzę i ze względów artystycznych nie powinna więcej na afisz powracać.

Ale pomijając „poziom-artystyczny“ (tak akcentowany stale przez kierownictwo opery, w początkach każdego sezonu) „Żydówki“, opera ta dawana jest w sobotę—dla względów „politycznych“—kasowych. Żydzi mają zapełnić teatr i... chociaż jeden dzień w tygodniu ma być „komplet“.

W pierwszym akcie przy słowach „szlachetnego“ Żyda Eleazara: „Ja przeklinam Was Chrześcijanie...“ zrywa się stale huragan oklasków. To szajgiecerja zachwycona nie muzyką, nie tenorem, lecz „przekleństwem chrześcijan“, klaszcze w dłonie solidarnie, tupiąc nogami. Otóż demonstracja taka zdarza się stale w naszej reprezentacyjnej operze stołecznej w szabas podczas „Żydówki“. — Dojdzie do tego, że żaden szanujący się tenor partji przeklinającego Chrześcijan Żyda śpiewać nie będzie chciał, gdyż te oklaski hałastry żydowskiej—to policzki dla aryjskiej publiczności oraz aryjskiego personelu artystycznego opery warszawskiej.

Tom. Jaw.

DUCH „CZASU".

(„Frankfurter-Zeitung“ 13 Januar 1918).

„Da traf das gequälte Volk ein Sonnenblick der Gnade vom österreichischen Kaiserthrone, und es fand sich zum Glück für die Polen eine Partei, die fähig war, die Gunst der Stunde zu nutzen. Die entsetzlichen Lehren der Wirklichkeit gaben denen Recht, die klarmachten, dass mit dem allgemeinen Konspirieren gegen die Staatsgewalten nichts mehr zu erreichen sei. Diese realistische Stimmung krystallisierte sich in Krakau, am Sitze der alten Jagellonen-Universität, erst in einer historisch-politischen Gelehrtenschule, dann in einer Partei. Man untersuchte die nationale Vergangenheit und gelangte über den Schutt der Selbsttäuschungen und Phrasen zur nüchternen Erkenntnis. Schriftsteller fanden sich, die den Mut hatten, ihrem Volke zu sagen, dass es nicht bloss durch fremde Ränke und Gewalt zu Grunde gegangen sei, sondern wesentlich an schweren inneren Gebrechen, an der Anarchie und der schrankenlosen Selbstsucht der oberen Klassen. So der Historiker Kozmian, der von der

vorhergehenden Zeit einer pathetisch-tragischen Stimmung schrieb: „Das Volk wurde belogen und es belog sich selbst; die Lüge feierte in der polnischen Gesellschaft Triumphe, denn sie entsprach ihren Gefühlen. Die Lüge wurde zur Gewohnheit". So der noch hervorragend wirksame Michal Bobrzynski, den viele Polen für ihren bedeutendsten lebenden Staatsmann halten. Er wagte als junger Mann zu bekennen: „Wir hatten keine Regierung, und dies ist die uinzige Ursache unseres Falles". Man verglich sich, indem man es unternahm, einem daran nicht gewöhnten Volke die Wahrheit zu sagen, mit der Figur des alten Hofnarren (stanczyk), dem sein Amt das Recht verlieh, sogar den Königen den Star zu stechen. Von da erhielt die ganze Richtung den Namen Stanczyken-Partei. Sie war antirevolutionär und realpolitisch, das hiess aber, wie die Dinge in Oesterreich und Galizien lagen, streng monarchisch, konservativ, aristokratisch und klerikal. Natürlich wurde die von bedeutenden Männern erfasste Idee von der gewöhnlichen Tagespolitik sehr bald vergröbert, sodass die Stanczyken in Wirklichkeit den regierenden Grossgrundbesitzerstand vertraten. Trotzdem war diese Krakauer Partei eine hervorragende Erscheinung, wohl die einzige politische Organisation von nachhaltiger Kraft, die dem Polentum in moderner Zeit geglückt ist. Mit stets bekundeter Ergebenheit blickte man auf das habsburgische Kaiserhaus, ganz besonders anf die Person des alten Herrschers. Noch immer ist der schwärmerische Zuruf nicht verhallt: „Zu dir, Herr, stehen wir und wollen wir fürder stehen!"

Man begreift, dass eine solche Sprache einem Monarchen wohltönend erschien, der viel Bitteres erfahren hatte, auch von seinen eigenen Völkern.

POCZĄTKI „KURJERA PORANNEGO".

(Ciąg dalszy).

Rewelacje p. Belmonta w „Wolnem Słowie".

Rząd przeszkadza.

Mój Boże!.. jak ten rząd przeszkadza wcieleniu szlachetnych zamiarów ojca i syna Fryze... Oberpolicmajster jest naczelnikiem straży ogniowej... Ale kasy dla poszwankowanych strażaków boi się jak ognia... Oho, rząd przeczuwa, że taka kasa strażaków — to, panie dobrodzieju, tylko początek... potem to z tego będzie, panie, Towarzystwo Rolnicze... takie co to w roku 1861... Wszędzie filje,.. filje.. Potem to się rozejdzie na Litwę... I to wszystko pod szczęśliwą dewizą: Feliks! Słowem... rząd się z tem nie spieszy... Podkopuje się pod wszystkie zabiegi Fryzów... Oni opracowują projekty, wysyłają do ministerjów, chodzą koło tej sprawy, mają specjalnych ludzi w Petersburgu... A tu ktoś ciągle psuje: „nie zatwierdzajcie"!.. Jakie to bolesne!.. Bo tymczasem—po Warszawie chodzą sobie ciche ploteczki o tem, że kapitał dobroczynny, znajdujący się na imiennym rachunku pp. Fryze miewał pewne kaprysy. Ludzie bardzo bliscy redakcji „Kurjera Porannego" opowiadają, że np. pewnego dnia brakło 2,430 rb. Opowiadają, że — kiedy zaszła obawa kontroli — trzeba było nagwałt pokrywać lukę... I to nie raz... Ludzie ci opowiadają, że właśnie tego

rodzaju skromne pożyczki na czas nieokreślony są jedynym powodem opóźnienia w zatwierdzeniu projektu kasy, niewiadomej daty „wysłanego do ministerjum” jakkolwiek—według najnowszych danych — „ma być dopiero opracowany“!..

Tymczasem w ciągu 24 lat gniją sobie na brukach nędzarze — kalecy ze straży ogniowej, o których tak serdecznie po koleżeńsku pomyślał ex-strażak i redaktor „Kurjera Porannego”, stary depozytarjusz i ojciec młodego depozytarjusza...

Z Korespondencji urzędowej.

Przyjrzyjmy się trochę temu, jak to rząd „przeszkadzał” utworzeniu kasy zapomóg dla poszwankowanych strażaków, albo zgoła się nią nie interesował... Informacja z aktów urzędowych — która przez szczęśliwy wypadek doszła do moich oczu z najpewniejszego źródła — brzmi:

„W odpowiedzi na zapiskę generał-majora Klejgelsa kancelarja Warszawskiego Generał-gubernatora 1 lipca 1888 r. za № 40 doniosła, że Główny naczelnik kraju polecił Ober-policmajstrowi powziąść wszystkie będące w jego mocy niesądowe środki, aby otrzymać od p. Fryze zebrany przezeń kapitał i umieścić go w Banku Państwa. Jeżeli zaś powzięte środki nie doprowadzą do otrzymania kapitału, to należy zrzec się zupełnie korzystania z nich, *ponieważ nie odpowiada godności instytucji rządowej zależność w słosunkach pieniężnych od jakiegoś p. Fryze*“.

Ale p. Fryze umiał przekonać władzę, że nie należy się zrzekać kapitału na rzecz ubogich—ofiarując kilkakoć drobne sumy na rzecz ubogich funkcjonarjuszów straży ogniowej. W pomieszczonej informacji czytamy dalej:

„Na skutek dziennikarskiej uwagi w „Kurjerze Warszawskim“ w r. 1898 o niezabezpieczonem położeniu strażaków, podczas gdy istnieje kapitał, od którego procenty winny być przeznaczone na ich korzyść, kancelarja Warszawskiego Generał - gubernatora zapytywała w r. 1898, 1899, 1900, 1901, 1904 i 1905: w jakiej pozycji znajduje się sprawa zabiegów p. Fryze o zatwierdzenie ustawy kasy zapomóg dla strażaków Warszawskiej straży ogniowej.“

Okazało się, że pan Fryze ciągle opracowuje projekt i ciągle stara się o zatwierdzenie.

Najtrudniejszy projekt na świecie.

Napisanie ustawy kasy zapomóg dła strażaków jest najtrudniejszą robotą na świecie.

Coś w rodzaju zadania o kwadraturze koła.

Trwa to 24 lata... bez skutku.

Wprawdzie już w r. 1889, t. j. w 2 i 3 lata po zebraniu funduszu p. Feliks Fryze „zdąży“ podać jakiś próbny projekt Oberpolicmajstrowi Klejgelsowi — ale jakoś ani Oberpolicmajster, ani sam pan Fryze tego projektu nigdy nie traktowali na serjo.

Nigdy!.. jakkolwiek exposé doń w lutym r. 1889 p. Feliks Fryze pisał własnoręcznie co następuje:

„Ustawa kasy sformułowana jest według wzorów Ustawy Czerwonego Krzyża. Aprobata waszej Ekscelencji dla tej zasady, wypowiedziana mi osobiście, pchnęła całą sprawę na drogę praktyczną i dozwoliła mi nakreślić projekt, w którym starałem się uniknąć jaknajlżejszych sprzeczności z obowiązującemi przepisami i rozporządzeniami rządu.

„Proszę mi wybaczyć „Wasze Prewoschoditielstwo“, że sprawa tak się dłużyła (w oryg. „dieło dliłoś”). ale wygrała ona z tego względu, że będzie ją rozstrzygać „Wasze Prewoschoditielstwo“ z tą energją i uporczywością (s energiej i nastojcziwostju) gwoli którym ja sam przy wszystkich moich zajęciach wcześniej skończyłem projekt,

niż sądziłem („rańsze pokoncził, cziem połagał"). Wszelako winien jestem, że to éxpose i cała ustawa pisane są niezupełnie wyraźnie („nie sowsiem czotko") i nie bez błędów przeciw językowi, ale ja sam wszystko robiłem, tłomaczyłem i przepisywałem, aby sprawę przyspieszyć („Uskoryt'") Waszej Ekscelencji najpokorniejszy sługa Feliks Fryze".

Rzecz szczególna — cały projekt, wzorowany na „Czerwonym Krzyżu", wedle zasady aprobowanej — nie znalazł się na „praktycznej drodze", na którą „wszedł"! Energja „dłużąca się" a jednak „wcześniej kończąca" nie zapłodniła drugiej energji, na rozstrzyganiu, przez którą sprawa „wygrała". Może dla tego, że był pisany „niewyraźnie". A może dla tego, że p. Feliks Fryze przez oszczędność sam pisał, sam tłomaczył, sam wygotował go przez dwa lata. Naturalnie! Nie mógł na nikim polegać. Bo i któż drugi zapamiętałby wszystko, co jest potrzebne dla kasy wsparć—określenie w § 5, że „honorowym jej członkiem będzie Generał-gubernator"—i określenie w § 8, jak należy chować członków zwyczajnych i honorowych: „na pogrzebie honorowego członka, a także członków zarządu, znajduje się i idzie aż na cmentarz deputacja straży ogniowej z brandmajstrem i muzyką na czele..."

Naturalnie taki projekt kasy z pogrzebową muzyką, acz kosztował blisko 3 lata pracy, został pogrzebany w niepamięci...

i zapomniany nawet przez autora...

Bo oto w 12 lat później — 30 listopada 1900 roku urzędnik, delegowany przez kancelarję Oberpolicmajstra, z powodu zapytania kancelarji Warszawskiego Generał-gubernatora o stan sprawy (2 Diełopr. 5 Nojabria 1900 Nr. 18079), otrzymał od p. Fryzego zapewnienie, że w styczniu r. 1901 p. Fryze zamierza ułożyć i przedstawić Oberpolicmajstrowi projekt ustawy kasy". (Predpałagajet sostawit' predstawit'). Więc dopiero zamierza! Ale na styczeń 1901 r. p. Fryze projektu nie przedstawił. (Por. doniesienie kancelarji Oberpolicmajstra do kanc. Warsz. Gen.-Gub. Nr. 662) 5758 z dn. 5 kwietnia 1901 r.).

Pierwszy kwietnia przeszedł! Pan Fryze nie przedstawił projektu. I znów wlecze się przedziwna korespondencja pomiędzy kancelarją Generał-Gubernatora i Ratuszem Oberpolicmajstra — bezpłodny romans na tle uratyfikowanego nieprzystępnie przez depozytarjusza kapitału dobroczynnego. Aż het w maju roku 1904 p. Feliks Fryze oświadcza nowemu delegatowi Oberpolicmajstra, że kapitał wynosi już rb. 10,838 kop. 84, a projekt już przedstawiony panu ministrowi... ale „jeszcze odpowiedzi niema".

Dlaczego został wysłany z pominięciem Kancelarji Oberpolicmajstra, Naczelnika Warszawskiej Straży Ogniowej (może aby mu zrobić w sekrecie niespodziankę na dzień „jego anioła") — przez kogo został napisany — a zwłaszcza kiedy został wysłany — wszystkie te tajemnice zabrał ś. p. Fryze na tamten świat!

Już tak dawno wysłany, a jeszcze niewiadomo czy doszedł do ministerstwa!..

Jaka szkoda!...

Ludwik Fryze w roli Westalki.

Jest jednak druga—jeszcze większa.

Onego dnia 30 listopada 1900 roku p. Feliks Fryze przy urzędniku policji (sztabskapitanie S...) uczynił napis na kwicie Tow. Wzaj. Kred. na sumę rb. 8913 kop. 80 otrzymaną od Łubieńskiego, a wniesioną do kasy Towarzystwa 7 kwietnia tegoż roku, że pieniądze te nie są jego własnością, ale na wypadek jego śmierci podlegają wypłacie Warsz. Tow. Ubezp. od Ognia na cele kasy strażackiej.

A jednak—pomimo tej gwarancji na po domu i pod obcem natchnieniem... kancelarji Oberpolicmajstra — po upływie lat 10 od owej chwili—w 24 od chwili zebrania funduszu i w 3 lata po śmierci Feliksa Fryze depozyt... jeszcze jest święcie strzeżony przez Feliksowego syna Feliksa dwojga imion Ludwika... niby święty ogień Westy, przez

dziewice westalki. Kapitał ten przybiera fantastyczne cechy jakiegoś majoratu depozytowego w rodzinie Fryzów—ma leżeć wieczyście, jak śnieg na wyżynach Himalajów, aby świadczył jak Fryzowie myśleli o nieszczęśliwych kalekach strażackich. I korespondencja między dwoma kancelarjami, wciąż przerywana i wciąż wybuchająca pod znakiem zapytania: „co słychać z kapitałem, zebranym przez Fryzego?“—dziś już parotomowa—ciągnąć się będzie do końca świata i po końcu świata“!

Niby Lew Lucerneński położył się Ludwik Fryze u stóp świętego kapitału, zebranego przez ś. p. jego ojca i pilnuje jego świętości.

Niechaj kometa zburzy świat cały—on pozostanie nieruchomy na straży nienaruszalności dobroczynnego kapitału!

Bo przecież tu chodzi o nieszczęśliwych strażaków, którym głownie walą się na głowy i żużel wypala oczy!...

(D. N.).

WYCIECZKA ZA MIASTO.

I cóż z tego, kochanie, że kończy się lato,
Że pająk już się puszcza w swe długie podróże,
Że lipa już nas żegna złocistą zapłatą
Swych więdnących dukatów, że przekwitły róże.

Lato minie — bo musi. Tak jest... Ale za to
Jesienią przyjemności czekają nas duże.
Nieraz umkniemy z miasta... Cóżeśmy — za kratą?
Pojedziemy daleko... Pogodę ci wróżę...

A pojedziemy autem... No, to się rozumie..
Ja, jak zwykle — ty w nowym jesiennym kostjumie...
A kiedy się znajdziemy daleko, gdzieś w lesie,

Zgłodniali — z samochodu koszyk się wyniesie...
W nim koniak będzie, całe śniadanko gotowe
I jeszcze coś... Wiesz?
— Piwo Drozdowskie Marcowe!

Pren. kwart. 3 zł. Zagranicą kwart. 5 zł.
Ceny ogłoszeń: 1 str. za tekstem 100 zł. Konto cz. w P. K. O. № 3105
Skrzynka poczt. Nr. 150. — Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Redaktor i wydawca: STANISŁAW WŁODEK.
Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.